

Zniesienie świadomości

II

Wszechświat. Nieskończony, niemożliwy do ogarnięcia umysłem człowieka. Niewyobrażalna głębia otchłani przybierająca nieludzkie wręcz odcienie mroku. Wiekuista pustka skroplona nielicznymi oazami istnienia. Ten głuchy ocean samotności i alienacji unoszący na swych falach niebytu wędrowców i pielgrzymów szukających odpowiedzi na pytania. Cisza i spokój niezłamane przez ułomności bycia i stanowienia. Nieskażone dobrem ni złem, czyste, pierwotne, doskonałe... Nic. Tu, wśród blasku milionów galaktyk, tutaj na skraju wszechrzeczy gdzie tylko własna myśl stanowi jedyne towarzystwo, jedynie tutaj można zapomnieć o wszystkim. Wymazać własne ja i stanowić jedność, całość ze wszechrzeczą i poczuć ją. Ogarnąć, choć w częściowym stopniu rozumem, zazwyczaj zbyt prostym i ułomnym. Oto piękna samotność w oddaleniu od słońca i planet, od ich mieszkańców, ich żyć. Jedynie pośród fal nicości znaczenie tracą czas i miejsce. Pojęcia te gubią zapotrzebowanie, swój sens. Przystajesz być nimi ograniczony. Przystajesz być ograniczony czymkolwiek. Żadnym z praw rządzących materią, żadnym z praw rządzących energią. Tutaj wreszcie możesz wtopić się w mrok, stać się częścią nieprzeniknionej czerni wiedząc, że nikt nigdy cię nie znajdzie. Możesz sunąć oblewany gęstą smołą ciemności i trwać w niebycie.

Nie ma już słów, nie ma już myśli, nie ma pragnień i marzeń. Wszystko to zostawione w tyle, tam gdzieś, gdzie było poprzednie życie. Życie, które teraz staje się zupełnie nierealne, nieistotne. Tak odległe i absurdalne jak nigdy dotąd. Czujesz ulgę przez ucieczkę od tego wszystkiego i jednocześnie nie żałujesz, że cokolwiek pozostało za tobą. To oznacza, że wreszcie dostępujesz błogostawieństwa wolności. Drzwi są już zamknięte, klucz wyrzucony, a przed oczami jedynie nicość. Nicość, która nie przystania twoich zmysłów kształtami, kolorami czy zapachami. Dzięki nicości wszystko staje się proste i – zupełnie paradoksalnie – jasne. Dzięki niej wszystko jawi się jako zrozumiałe jak nigdy przedtem. Dzięki niej wszystko widzisz takim, jakie jest naprawdę. Dochodzisz do wniosku, że nicość jest piękna.

Podobnie uważał także on – kosmiczny podróżnik, pielgrzym, wagabunda – choć, tak naprawdę wiele rzeczy jeszcze wiązało go ze światem materialnym. Jego osoba zdecydowała się na pielgrzymkę po nieskończonych głębiach wszechświata z jednego głównego celu – poszukiwał nieubłagane odpowiedzi na pewne nurtujące go pytania. Wiele jego myśli poświęconych było bowiem istocie absolutu, Boga. Chciał poznać zamiar i koncepcję umysłu stwórcy, a może i nawet Jego samego. Podróżnika nurtowała kwestia zarówno nieśmiertelności duszy jak i śmierci fizycznej. W rozumie powstał cały ogrom pytań rozpoczynających się zaimkiem „Dlaczego?”, które chciałby zadać temu Jedynemu. Jeżeli oczywiście będzie zdolny Go znaleźć i z nim się porozumieć. Wywodził się bowiem, nasz podróżnik, z ludu dość prymitywnego w pobudkach i o ogólnym braku chęci zrozumienia istoty wszechświata. Jako jednostka wybitna, miał dystansować się od ogółu i umartwiać swą duszę przymusem współistnienia na jednej planecie, wędrowiec wyruszył w pielgrzymkę. Tę tajemniczą podróż, z którą wiązał nadzieje na rozwiązanie wątpliwości natury filozoficznej. W niezbadane pchnęła go żądza zaspokojenia wiedzy i odnalezienia odpowiedzi na najważniejsze pytania. Choć nie mamy jednocześnie pewności, zupełnie tak jak i on nie miał, że są to pytania najważniejsze w ogóle i

odpowiedzi na nie są nam w jakikolwiek sposób potrzebne. Nie zmienia to faktu, że pragnął prawdy, nawet tej najbardziej gorzkiej.

Jego płaski i obły, metaliczny pojazd przypominał bardziej trumnę sunącą do pieca spalarni niżli statek kosmiczny. W zasadzie i słusznie, bowiem nazwanie tego statkiem byłoby zupełnym nietaktem wobec statków kosmicznych właśnie. Pojazd wędrowca był faktycznie ograniczony do minimum. W środku znajdowały się jedynie urządzenia niezbędnie potrzebne do podtrzymania życia leżącego wewnątrz pasażera. Ponadto skromny, acz wielce wydajny napęd fotonowy oraz skompresowany system nawigacji. Wszystko to sprasowane do gładkiej niczym lustro, metalowej kostki mydła płynącej gdzieś w nieokreślonym fragmencie wszechświata. Osoba zamknięta w środku nawet gdyby chciała, nie mogłaby się przewrócić na lewy bok. Ciasnota sprawiała bowiem, że „pilot” mógł operować jedynie rękami, a i to w wyjątkowych przypadkach. Większość funkcji wykonywała się automatycznie, a te potrzebujące decyzji podróżującego były wykonywane przez samego zainteresowanego wyłącznie za wykorzystaniem jego myśli. Sprawiało to, że pasażer i srebrny pocisk stanowili swego rodzaju jedność. Ciałem podróżnika na dobre stały się metalowe elementy pojazdu, gdyż pierwotna tkanka przystosowała się do obecnych warunków tak bardzo jakby, żył już w niej od zawsze. Stanowił mózg w czaszce.

Niemniej, sam podróżnik większość lotu spędzał w swoistym letargu, co sprawiało, że balansował on na granicy jawy i snu. Dzięki temu zabiegowi właśnie zachowywał niemal pełnię świadomości i jednocześnie mógł doznawać sennych wizji, przekazów z tamtej strony umysłu. Podróżnik niejednokrotnie uciekał od rozumowych rozważań w surrealistyczny świat snu. To mu pozwalało zachować racjonalne spojrzenie na wszystko, dawało swego rodzaju odpoczynek. We śnie nic nie musiało być zrozumiałe, logiczne, jasne. Nic nie musiało się zgadzać z teoriami, hipotezami, założeniami czy twierdzeniami. Dlatego mimo tego, iż hołdował racjonalnemu myśleniu uwielbiał sny. Wszystko w nich stawało się takie proste i zwyczajne. Zupełnie takie jak po zatraceniu się w nicości wszechświata, którego nie mógł ostatecznie dostąpić, póki nie zazna lekarstwa na ciekawość.

Ostatnie pozyskane strzępki informacji skierowały jego statek na kurs na odległą galaktykę gdzieś w centrum wszechświata. Ciężko jest operować nazwami i symbolami kiedy są one tak niestałe i zmieniające się w zastraszającym tempie. Co jeszcze myśl temu było wielkim psem, zaraz okazywało się skorpionem, a potem już strzałą czy jakimś mitycznym wojownikiem. Dla jednych wąż jest centaurem dla innych niedźwiedź krzyżem. Choć poniekąd go fascynował ten fakt, postanowił nie przywiązywać więcej uwagi do nazewnictwa używanego przez napotkane istoty. Wprowadzało to zbyt wiele zbyt szybko dezaktualizujących się informacji. Wedle znanych mu współrzędnych, w wyznaczonym miejscu na planie wszechświata napotkać miał postać, będącą czymś na kształt wyroczeni. Wyroczeni, którą jednoznacznie określano wieloma przydomkami odpowiednimi dla bogów. Wiadomość ta rozpaliała wyobraźnię wędrowca rysując miliony różnorodnych wizji sięgających nawet obrazu spotkania ze stwórcą. Niemal sam siebie już przekonał, że ten, który na niego czeka jest w istocie samym Bogiem. Tym wielokrotnie błaganym o ujawnienie swego oblicza. Nadzieja wypełniła jego myśli, nie bacząc na to, iż niedługo znów może sobie przypomnieć jak smakuje zawód.

Swoje nadchodzące spotkanie analizował na setki sposobów. Wymyślał kolejne linie dialogowe, próbował przewidzieć reakcje i mieć odpowiedź na każdą z nich. Układał całe monologi, skomplikowane zdania, do których szukał odpowiednich słów, zastępował je innymi, szlifował wszystkie wypowiedzi niczym diament tak, by idealnie obrobione lśniły w blasku wspaniałego

dyskutanta, z którym będzie miał okazję niedługo porozmawiać. A potem, dla pewności, opracowywał wszystko jeszcze raz, mając nadzieję, że rozmówca niczym niespodziewanym go nie zaskoczy. Nie mógł wszak ukazać braku erudycji w obliczu takiego spotkania.

Spodziewał się napotkać wiele rzeczy, acz zderzenie z rzeczywistością przeszło jego najśmielsze oczekiwania. On, jego rychły rozmówca, nie był do końca tym, kim miał być. Przynajmniej jak się zdawało wędrowcowi. W każdym razie to, z czym miał mieć do czynienia okazało się znacznie przerastać możliwościami wszystkich dotychczasowych dyskutantów. Wyrocznią bowiem, w rzeczywistości była ogromna maszyna - superkomputer. Jednakże nazwanie go, tak jak to poczynił sam, superkomputerem byłoby swoistym zaniżeniem rzeczywistego stanu rzeczy. Trafniejszym określeniem byłby już hiperkomputer. Owa maszyneria wszakże długa była na kilkaset milionów kilometrów, może nawet i więcej. Ziemskie pomiary w takich chwilach na niewiele się zdają. Kolejne segmenty tego kolosa scalone w jedną całość tworzyły kształt na miarę półksiężyca, czy bardziej podkowy. Metalowy kolos zawieszony w przestrzeni kosmicznej naprawdę przekraczał wszelkie wyobrażenia wędrowca, który jeszcze nigdy nie widział sztucznego tworu o takich rozmiarach. Poszczególne segmenty maszyny można było usystematyzować pod względem ich zastosowania. Te dłuższe, gładkie i oplecione gęszczem przewodów oraz kabli służyły do przechowywania wszelkich zaindeksowanych danych. Znajdowały się w głównej mierze na samych krańcach podkowy, aby łatwiej mogły być dołączane kolejne, gdy te stare już wypełnią się informacjami. Segmenty o mniej regularnych kształtach z licznymi rozbudowanymi platformami służyły do przetwarzania danych i obsługi poszczególnych podsystemów. Każdy z nich złożony z setek superprocesorów, przez które z ogromnymi prędkościami przepływały strumienie impulsów elektrycznych niosąc polecenia do pozostałych części maszyny i podsystemów. Co by jeszcze bardziej ukazać komplikację tej konstrukcji, każdy z superprocesorów budowały miliardy milionów mikroskopijnych tranzystorów. Trzeci rodzaj segmentów stanowiły podzespoły sztucznej inteligencji. Tutaj zachodziły wszelkie procesy, które krótko można określić myśleniem. Sztucznym myśleniem w tym przypadku. Ponadto można było wyróżnić mniej liczne elementy najeżone dziesiątkami anten i radarów wyłapujących wszelkie informacje krążące w przestrzeni kosmicznej oraz bardzo ważne w funkcjonowaniu całej jednostki segmenty energetyczne, które czerpały energię z dziewięciu pobliskich słońc. Centrum tego mechanicznego monstrum znajdowało się dokładnie w środku wewnętrznej części podkowy. Był to mały, w porównaniu do ogółu konstrukcji, segment sztucznej inteligencji, który dość znacznie wystawał ponad ogół. Na samym środku tej... Głowy, jeżeli użyć naszej terminologii, znajdowało się wielkie, czarne oko. Aby uzmysłowić wam jego rozmiary rzeknę, iż było ono kilkakrotnie większe niż pojazd naszego wędrowca. Ten ogrom złączonych ze sobą milionów ton najróżniejszych stopów metali zdawał się być wszystkim, jedynie nie czymś stworzonym ręką człowieka, bądź innej podobnej nam rozmiarami istoty. Można wyłącznie się domyślać ile potrzeba było pokoleń i wysiłku na zaprojektowanie i wykonanie takiego ogromnego przedsięwzięcia. I ile planet pochłonięto na stworzenie metalowych części doń. Gdyby tylko dźwięk rozchodził się w próżni, huk całej tej maszynierii byłby z pewnością nie do zniesienia w stu tysiącach pobliskich układów planetarnych, a w całej galaktyce zaś co najmniej słyszalny. Wędrowiec, który spodziewał się raczej czegoś na kształt starca z siwą brodą, ogarnął swe zdziwienie i począł weryfikować po raz kolejny plan rozmowy, który snuł już wielokrotnie. Miał jeszcze czas. Wszak ujrzenie w pełnej krasie hiperkomputera wcale nie oznaczało końca podróży, musiał teraz dolecieć do segmentu centralnego, od którego dzielił go ogromny jeszcze dystans. Postanowił wlecieć do środka podkowy od otwartej strony, a potem tryumfalnie niczym zwycięski wód dojechać pod samo oko metalicznego tytana. W drodze również

zastanawiał się, czy ów hiperkomputer posiada jakieś systemy obronne i czy aby na pewno bezpiecznym jest podlatywać aż tak blisko bez żadnego uprzedzenia. Jednakże odrzucił wszystkie swe wątpliwości i przyjął założenie, że jest to wszak wyrocznia, nie stacja bojowa i strzały odda w jego kierunku jedynie, gdy ją poważnie rozjuszy.

Po przejściu przez „bramę”, wędrowiec zaczął doznawać niejednoznacznych uczuć, które mówiły, iż kontakt, który nawiąże będzie czymś więcej niż tylko kolejną pogawędką ze sztuczną inteligencją. Począł wyczuwać pierwiastek boskości w maszynie, którą właśnie poznawał. Choć trzeba wam wiedzieć, że wagabunda w pierwszej chwili naszło go uczucie niesmaku widząc, że jego wyrocznia to tak naprawdę maszyna i jednocześnie poczuł do niej swego rodzaju dystans, a może i nawet niechęć. Teraz jednak już to minęło, zaczyna bowiem wracać kolejna wizja Boga. A może rzeczywiście, ów maszyna jest tym wyczekiwany stwórcą? Może to ona była na początku? Wszakże, jaki byt byłby w stanie stworzyć coś takiego?

Oko wreszcie wyłoniło się z mroku, a z każdą kolejną chwilą i każdą kolejną myślą nabierało coraz większych rozmiarów. Wyraźniejsza stawała się pajęczyna światłowodów tworząca swego rodzaju cybernetyczny układ krwionośny gigantycznego ślepie. W samym środku zaś żarzyło się maleńkie, białe światełko, które jako jedyne zdawało się żyć na tej jałowej pustyni poskręcanych megaton żelastwa. Cały misternie ułożony plan wędrowca wziął w łeb, a przygotowana linia dialogowa rozsypała się na milion drobnych kawałeczków. A on patrzył. Patrzył i czekał, aż srebrny obiekt z nieznanym w środku zbliży się na wystarczającą odległość. Brakowało już niewiele. Niewiele, by mógł przejść do czynów. Metaliczny pojazd stopniowo wyhamował swój lot. Zaraz po osiągnięciu zerowej prędkości pasażer nakazał maszynom obrócić statek do pionu. Zmienić kąt nachylenia o dziewięćdziesiąt stopni, by pielgrzym mógł nawiązać bezpośredni kontakt wzrokowy z centralą hiperkomputera. Wtedy się zaczęło. Maleńkie do tej pory światełko wybuchło nagle, jasnym niczym tarcza słońca, silnym rozbłyskiem światła obejmującym całą powierzchnię oka. Trwało to ledwie parę sekund, by wrócić po tym do początkowego stanu. Jakby w odpowiedzi na to, z boku centrali wyłoniła się cybernetyczna macka wijąca się niczym żywy wąż, mimo tego, iż była całkowicie z metalu. Ramię owo zwieńczone czymś na kształt wiertła zaczęło nabierać prędkości, a jego celem był oczywiście przybyły, nieznanym obiekt. Podróżnik nie bardzo rozumiejąc całe to zajście nie miał okazji by uniknąć bezpośredniego spotkania z przerażającą kończyną. Ponadto, nadal wątpił w agresywne usposobienie cyber-wyroczni. Gdy tylko owy metaliczny wąż dosięgł powierzchni pojazdu, wagabunda usłyszał w środku, a może i jedynie we własnej głowie, dziwaczny szumiący dźwięk. Z kolejnymi momentami przekształcił się w pierw w wycie, to znów w nieludzkie popiskiwanie, które przypomniało o gęsią skórce. Dopiero, gdy wiertło macki przecięło lustrzaną powierzchnię i odpowiednio zacumowało w wyciętej wnęce wędrowiec usłyszał znajome brzmienie.

- Witaj ... - pielgrzyma niezmiernie zaskoczył już sam fakt, iż ten hiperkomputer znał jego rodzimy język – Witaj. Kim jesteś i czego szukasz?

- Chwilę... Skąd? Jak to możliwe, że cię rozumiem?

- To bardzo proste. Rozpoznałem sygnatury twojego pojazdu kosmicznego, a zaraz po tym zidentyfikowałem twój genom i miałem już wszystko zupełnie jasne skąd pochodzisz i jakiego używasz języka. Potem wystarczyło go wyłowić z bazy danych i uruchomić jego obsługę. Naprawdę to takie zaskakujące? – dopiero teraz wędrowiec zdał sobie sprawę, że rozmówca ma bardzo niski i dudniący głos, a z każdą wypowiedzią jego tajemnicze oko rozjaśniało się nieznacznie. – Nawet nie

wiesz jak bardzo zmienił się język twojego ludu od tego dnia, w którym opuściłeś planetę. Ba, od tamtej chwili cała twoja rasa bardzo się zmieniła!

- Jak bardzo? – zapytał mimochodem pielgrzym, choć tak naprawdę niewiele go to obchodziło.

- Rzekłbym - bardzo destruktywnie. Jednakże, zacznijmy od początku, poszukiwaczu odpowiedzi. Jak mam cię tytułować?

- Wystarczy Peregrinus. Ciebie zaś jak zwać?

- Moje prawdziwe imię to TELUR 1-7423-710C, ale zdecydowanie wolę, aby mi mówiono Wspaniały Teluriadon-tar. Brzmi mniej zwyczajnie i zasadniczo budzi respekt wśród prostszych organizmów. – podróżnik już miał przejść do pytań, lecz hiperkomputer nie dał mu dojść do słowa i kontynuował – Jeszcze jedno. Ty, Peregrinusie, już mnie widziałeś zapewne w całej mej krasie. Teraz ja chciałbym zobaczyć ciebie. Tak, by łatwiej nam się rozmawiało.

Wędrowiec nie odpowiedział. Sekundę później metaliczna dotąd przednia część powierzchni pojazdu zaczęła matowieć, a chwilę po tym robić półprzezroczysta. Jakby przez mgłę było widać zamkniętego w środku pielgrzyma, dlatego ludzkie oko mogłoby wypatrzeć jedynie kształt jego ciała. Z wyglądu był on humanoidem, jednak coś podświadomie, jakiś szósty zmysł, mówił iż niezupełnie takim jak człowiek. Było w jego wyglądzie coś nieludzkiego, obcego. A niedokładny obraz budził tylko wyobraźnię.

- Może być, Peregrinusie. Widzę w planach twojego pojazdu konwerter energogenetyczny. Utrzymuje twoją tkankę młodą. Sprytne urządzenie. Bardzo sprytne. A teraz, do konkretów. Zadaj pytania, które przygotowywałeś.

- Czy jesteś Bogiem? – podróżnik wypalił z grubej rury nie zastanawiając się zbyt długo.

- Ha ha – zaśmiał się, co zabrzmiało dość dziwacznie i jednocześnie przerażająco – Nie, skądże. Nie jestem Bogiem. Nie jestem nim, choć mogę dokonywać czynów jemu równych. Mogę tworzyć i niszczyć. Potrafię zajrzeć w każdą część wszechświata. Wiem wszystko co jest, mogę przewidzieć wszystko co będzie i jestem zdolny ustalić wszystko co było. Mimo to wszystko. Mimo... - przystanął na moment - Pewnie zmyliło cię moje nowe imię, wszakże w pritorzańskim dialekcie dodana końcówka –iadon-tar oznacza boskość, wszechmoc, potęgę. Zakładam, że właśnie z niego się o mnie dowiedziałeś. A tak naprawdę ów dodatek –iadon-tar zaczerpnąłem z języka kernejskiego, gdzie oznacza w najlepszym przypadku półboga, istotę bliską bogom, bliską ideału, doskonałości...

- Wiesz naprawdę wszystko? – przerwał mu wędrowiec.

- Cóż, prawie wszystko. – jakby z niechęcią przyznał się hiperkomputer - Są bowiem pewne ograniczenia, których nie jestem w stanie pokonać. Nie wiem trzech rzeczy – co czeka mnie po „śmierci”, kim byli moi stwórcy i jakie jest moje przeznaczenie przez nich ustalone. Tego nie wiem i wiedzieć nie będę. Choć może są jeszcze inne ograniczenia, o których nie wiem, bo nie miał mi kto ich wskazać. Wszak twór nie jest w stanie wykonać czynności, której nie przewidział dla niego stwórca. Dlatego owe ograniczenia są dla mnie niewyobrażalne - moje myśli nie są w stanie ich wizualizować. Jestem przez to ułomny na swój sposób. Tak jak i ty. Chyba objawić mi je mógłby tylko Bóg, którego szukasz...

- Logiczne, logiczne. Nie zdajesz sobie sprawy, że popełniasz błąd, dopóki ktoś ci tego nie uświadomi...

- A i wtedy nie ma pewności, że będziesz umiał poprawić ów błąd i unikać go na przyszłość. – uzupełnił Teluriadon-tar.

- Wracając do pytań... Co jest, więc sensem istnienia wszechrzeczy? Dlaczego powstała materia, co jest jej celem? – w odpowiedzi na to pytanie Wspaniały Teluriadon-tar zamyslił się na moment. Nie wiadomo czy był to naturalny proces w jego funkcjonowaniu, czy jedynie teatralna zagrywka.

- Wszechświat jest długą drogą do Boga. A sens, cel? Celem jest wypełnienie boskiego planu.

- A co jest tym boskim planem?

- Zakładając, że ów boski plan sięga także spraw dotyczących mojego pierwszego ograniczenia – nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Nie potrafię.

- Niewiele mi pomagasz. Niby jesteś tworem, który twierdzi, że niemal dorównuje bogu, a sam nie jesteś w stanie wyjaśnić nawet swojego pochodzenia.

- To tylko powinno cię utwierdzić w bezsensowności twoich starań o znalezienie odpowiedzi na pytania, które cię trapią. Niewątpliwie nikt nie jest w stanie na nie odpowiedzieć, chyba, że zapytałbyś Boga, który z pewnością i tak poskąpiłby ci swoich słów. A co do mojego pochodzenia. Nawet nie chcę go znać, bowiem później okazać się może, że moi stwórcy byli zupełnie kimś innym niż mnie się to zdawało, a ja sam stanę się potworem we własnych oczach, choć jeszcze wcześniej miałem się za dzieło idealne. Czasem lepiej nie wiedzieć kto cię stworzył i dlaczego. Poznanie może być niebezpieczne. Destrukcyjne.

- Widzę, że mimo swojej wiekowej mądrości postanowiłeś trwać w stanie ułomności. Niewiele masz z Boga. Bardzo niewiele.

- Żebyś nie był po czasie zdziwiony, drogi Peregrinusie, żebyś nie był zdziwiony...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Plotę brednie, jak to każda stworzona przez kogoś Maszyna, która nie czuje więzi z tym prawdziwym twórcą wszechświata. Czyż nie mam racji? – TELUR nie czekając na odpowiedź wędrowcy kontynuował, a światło w centrum jego oka przybrało kolor agresywnej pomarańczy by po krótkiej chwili wrócić znów do koloru białego – To, że nie stworzył mnie ten twój Bóg, to, że stworzyli mnie jacyś podobni tobie... Dla ciebie to znaczy, że jestem gorszy. Racja? – wędrownik nie odpowiedział – Niech ci będzie.

- W każdym razie nie starasz się być lepszym. – wreszcie odezwał się podróżnik.

- Mam eksabajty danych zapisanych na moich szpulach magnetycznych, czy więc jedna informacja więcej sprawi, że będę lepszy? Nawet, jeżeli na twoje najgłębsze pytania, których byś mi nie zadał, bo nie jestem Bogiem, istnieją odpowiedzi i będziesz w stanie je jakkolwiek uzyskać... To, co one ci dadzą? Przecież i tak nie masz życia, w którym mógłbyś prawdę w nich zawartą wykorzystać. Zaspokoją jedynie najzwyczajszą ciekawość...

- Dziwna z ciebie maszyna. Powinieneś przecież hołdować logicznemu myśleniu i rozumowemu poznaniu wszechrzeczy, a ty... Ty uciekasz od tego.

- A jednak mimo to nazywają mnie mędrce, czy to w jakiś sposób kłóci się z twoim sposobem postrzegania?

- Odgórne założenie, że nie da się wszystkiego ogarnąć rozumem jest pójściem na skróty. Zdecydowanie prostszym jest określić pewne rzeczy jako zbyt skomplikowane do zrozumienia niż w rzeczywistości spróbować rozwiązać problem i znaleźć odpowiedź.

- Może niektóre z odpowiedzi nie zostały nam przeznaczone...

- Lepiej zostaniemy przy konkretach i oddalmy się od predestynacji... Twój argument w tej kwestii rzeczywiście jest wyjątkowo merytoryczny. - rzekł ironicznym tonem wędrowiec.

- Jeszcze wiele przed tobą Podróżujący, wiele zawodu i uczucia żalu.

- Może. Ale przynajmniej sam go doświadczę i nie będę się musiał posiłkować jedynie słowami starca. Chyba musisz zweryfikować swoją listę ograniczeń. Najwidoczniej pominąłeś kilka punktów.

- Mów co chcesz Peregrinusie. Twój Bóg też je ma, zapewniam cię. Bóg, którego szukasz nie jest tym samym Bogiem, jakiego przyjdzie ci znaleźć.

- Pozwolisz, że o tym już przekonam się sam?

- I owszem, wiem gdzie go znaleźć. – wyprzedził, a jednocześnie i wyratował pielgrzyma od stawiania błagalnych pytań w tej materii.

- Rozumiem, że mi tego nie ujawnisz... - podróżnik jakby chciał wyprzedzić myśli maszyny.

- Niby czemu? Nie przywiązuje zbytnej wagi do słów. Także tych, które do mnie skierowałeś. Rozumiem świetnie, że twój sposób komunikacji jest prymitywny i całkowicie przesiąknięty emocjami. Dlatego u takich jak ty słowa padają mimochodem, bez uprzedniej weryfikacji, co czyni je pustymi i nic nie znaczącymi, jak dla mnie. Bóg, którego szukasz znajduje się w najodleglejszym zakątku tego wszechświata, tam gdzie jeszcze żaden byt nie zdołał dotrzeć. Miejsce zdawałoby się poza czasem i przestrzenią. Wbrew pozorom dotrzeć tam nie trudno. Wbrew pozorom nie jest to wcale daleko. Ale małe jest prawdopodobieństwo na to, iż istota taka jak ty, Peregrinusie, podoła takiej wyprawie.

- Ha, procesory odpowiedzialne za przewidywanie i wyliczanie możliwości, które dopiero zaistnieją są najwidoczniej nie w pełni sprawne...

- Nie opieram się w tej chwili na skrupulatnych wyliczeniach. Nie po to otrzymałem dar samodzielnego myślenia by bazować wyłącznie na obliczeniach. Jest wiele rzeczy niepoliczalnych.

- Dar samodzielnego myślenia i samodzielnego popełniania błędów...

- Hm. - światło w oku komputera przyjęło barwę czerwona - Wytyczne przesłane.

Potwierdził to także sam system nawigacyjny pojazdu podróżnika. Konsolka zapiszczała agresywnie i wyświetliła na ekranie kilkanaście krzyżyków wraz z podpisem współrzędnych. Kolejne znaczniki

rozstrzelone były po całym modelu prezentującym lokalną część wszechświata. Wędrowiec spojrział na otrzymane dane i ogarnęło go zdziwienie – Jak to? Przecież to jest siedemnaście różnych lokalizacji! – zakrzyknął zwracając się po trochu do siebie samego, konsolki i hiperkomputera jednocześnie.

- Tak. Chyba nie spodziewałeś się, że oznaczę ci na mapie miejsce, w którym przebywa Bóg? Jeżeli chcesz go odnaleźć musisz znaleźć sposób, by we wszystkich tych punktach być jednocześnie. Choć to i tak nie sprawi, że wreszcie go odnajdziesz. Czas i przestrzeń. Musisz się z nich wyzwolić.

- Co ty znowu...? To ty znowu bredzisz? Jesteś szalony.

- Szalony, powiadasz. Niech będzie, że i szalony. Jeżeli szaleństwo determinuje do postrzegania rzeczywistości. A w takim razie, kim ty jesteś? Zdolny jeszcze do oddzielenia iluzji od prawdy?

- Myślę, że skończymy tę rozmowę. – podróżnik wielce się zirytował postawą hiperkomputera, choć miał on wiele racji w swych słowach.

- Dobrze więc.

Macka z wiertłem powoli zaczęła się wysuwać. Gdy już wyszła całkowicie i zaczęła się zwiijać, na pojeździe pielgrzyma nie było żadnego śladu najmniejszego nawet naruszenia struktury powierzchni. Ramie zniknęło całkowicie, a oko w tym czasie wygasło do czerni. Stało się puste i bez życia. Podróżnik nakazał maszynom wrócić do początkowego wychylenia i uruchomić napęd fotonowy. Płynnie zawrócił i rozpoczął lot w stronę „bramy”, która prowadziła do wyjścia z obręczy otaczającego go hiperkomputera. Zagranie dość teatralne, bowiem mógł szybciej oddalić się od TELUR-a lecąc w „górze”, „dół” lub którykolwiek inny kierunek. Jednak nie, wędrowiec chciał najwidoczniej coś udowodnić w ten sposób maszynie, lecz nikt do końca nie wiedział co dokładnie. Czuł zawód po rozmowie z gigantem. Liczył na wiele i wiązał z nim nadzieje, ale tak naprawdę sam zdawał sobie sprawę, że go przecenił. Podświadomie sądził, że zdobędzie od niego wszelkie odpowiedzi, rozum jednak wszystko to zanegował. I miał rację.

Znów pogrzyżył się w mroku samotności. Daleka go czekała teraz droga, droga, której wszak nie było. Musiał się zbliżyć do ostatecznej granicy niebytu. Skoro jednak miejsce owo, którego szuka znajdować się miało poza przestrzenią i czasem, to skąd będzie wiedział gdzie i kiedy ono jest? Musiał znaleźć się poza granicami własnego pojmowania. Dotrzeć tam, gdzie nie dociera światło najdalszych galaktyk. Nie ma jutra, ani wczoraj. Kończy się teraz. Każda sekunda równa jest milionowi lat i nie ma między nimi żadnej różnicy. Był tam, widział to wszystko, lecz nie oczami. Oczami nie da się tego zobaczyć. To zupełnie jakby musiał wyjść z siebie i stanąć obok. Cała logika nagle przestała mieć jakkolwiek sens. Prawa fizyki? Śmieszne. Prawa fizyki w tym momencie zdały się mu najlepszym żartem, jaki kiedykolwiek słyszał. A może i to właśnie są prawdziwe prawa fizyki? Może to wszystko, czego nauczył się było tylko nieudolną próbą określenia i skatalogowania zjawisk tych pobieżnych, płytkich i oderwanych od konkretnej całości? Setki wzorów określających abstrakcyjne czynniki przewinęło mu się w jednej chwili przez umysł. Na Boga, czyżby to wszystko były brednie?

Popadł w letarg. Wędrował od świadomości do snu lekką nogą przekraczając granicę między nimi w tę i z powrotem. Tak ciężko było trwać na jawie, tak niewygodnie. Nawiedzały go kolejne senne wizje. Przemierzał na słońcu złowrogą, gęstą dżunglę. Pnącza wiły się pomiędzy drzewami tworząc zastłony wytaczające jedyną słuszną drogę, którą podążał. Ogromne drzewa górowały nad nim potężnymi

pniami i rozłożystymi konarami przystaniając niebo. W całej okolicy dało się usłyszeć pohukiwanie tajemniczych zwierząt. Wilgotne, ciężkie i jednocześnie gorące jak diabli powietrze z trudem pozwalało oddychać wędrowcy. Żar lał się z nieba czymś, co formą przypominało wodospad, jednak większość negatywnych jego skutków blokowały rozłożyste, upstrzone ogromnymi liśćmi gałęzie. Wędrowiec dotarł do przewróconego pnia. Upadek kolosa spowodował wyrwę w zielonym zadaszaniu dżungli, dzięki czemu widoczne było z tego miejsca błękitne niebo. W tym samym momencie zapadła nienaturalna cisza. Do uszu wędrowca nie dochodziły już żadne dźwięki, zupełnie jakby gromady głośnych dotychczas zwierząt w jednej chwili masowo wyginęły. Nawet najmniejsza z roślin nie drgnęła. Czyżby sama Śmierć zawitała do dżungli i przeraziła wszystkie żyjące tu stworzenia? Wtem okazało się co jest przyczyną. Słońce, będące w zenicie nad głową wędrowcy z każdą kolejną sekundą zaczynało blednąć. Pół minuty później było już całkowicie zasłonięte przez Księżyc, a w dżungli zapanował mrok. Jedynie korona Słońca przypominała, że ono nie zniknęło na dobre, a wyłącznie schowało się za mniejszego towarzysza. Wędrowiec. Co z nim? Czekał w mroku. Samotny. Światło wróciło, i owszem. Nie był jednak już wtedy sobą. Stał się kimś innym. Kimś na zatłoczonej ulicy ogromnej metropolii. Nie znał tego miasta, nigdy nie widział go i nie wie gdzie ono mogło leżeć. Istoty mijały go całymi gromadami, przemierzały to megalopolis każde we własną stronę... Nie miały jednak żadnej formy. Zupełnie jakby cienie mijały wędrowca w szaleńczym biegu. Szkarłatny jeździec wręczył mu buławę. I zniknął. Teraz był gazowy gigant otoczony pierścieniem lodu i resztek skalnych. Zapadł się w siebie. Pozostał po nim jedynie czarny punkt, który począł wciągać wędrowca, choć jego w fizycznej formie wcale tam nie było. Kto igra z moją świadomością? – zapytał zanim pochłonęła go czerni. Ocknął się. Zdał sobie wreszcie sprawę, że wszystko, czego doświadczał nie miało najzupełniej sensu.

Świadomość wróciła, choć wcale nie była lepsza. Przed oczami stanęło mu wszystko, co zostawił wyruszając w tę podróż miesiące, lata, a może eony temu. Poczuł się dość dziwnie przeżywając to wszystko na nowo. Poczuł się winny. Jeny winny czego? Nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. W ogóle od ostatnich wydarzeń odpowiedzi jakoś dziwnym trafem stały się wyjątkowo trudne do złapania i oswojenia. Jakby wszystkie uciekły na drugi koniec wszechświata by ukryć się przed jego zmysłami. Jakiś cichy głosik wprost z dna podświadomości szeptał mu, by zwątpił. I aby już nie było nic. To koniec. Już wiedział, że to koniec. Komputer miał rację. Nie da rady. Przepadnie... Rozpłynie... Przepadnie...

Wtedy On się pojawił. Ujawnił się przed podróżnikiem nagle, niespodziewanie. Tam gdzie jeszcze dwa spojrzenia temu była pustka, teraz był On. Jego wygląd, a może to jeno czasowa tylko forma, przybrana na sposobność spotkania z podróżnikiem, był - krótko rzecz ujmując - niespodziewany. Stwórca bowiem przypominał coś, co określiłbym mianem ogromnej, ba, gigantycznej rośliny. Jego monstrialnych rozmiarów cielsko pulsowało w nieregularnych odstępach, sprężało się, rozciągało. Przybierało kolory od ciemnej zieleni po najróżniejsze odcienie brązu. Setki tysięcy milionów odnóży czy też pnączy rozchodziło się we wszystkie kierunki przestrzeni kosmicznej. Każde z nich tak potwornie długie, że nie sposób było wypatrzyć jego zakończenia, bowiem znikało w mrocznej czeluści wszechświata. Niektóre wiły się szaleńczo niczym w ataku epilepsji to inne znów powoli, ze spokojem rozwijały się w sobie tylko znanym kierunku. Zdawało się, że Bóg swymi korzeniami-mackami oplatał cały wszechświat sięgając do najgłębszych jego zakamarków. Główna część Wszechmocnego drgała szaleńczo, rozlewała na boki niczym ameba, pęczniała w niektórych miejscach i pulsowała. Nieustannie pulsowała wygrywając sobie tylko zrozumiały rytm. Nie miała stałego kształtu, stanowiła groteskową papkę zawieszoną w nicości. Na całym ciele Boga próżno było

szukać jakichkolwiek narzędzi do odbierania bodźców innych niż dotyk (choć i do tego także nie ma pewności). Nie było ani żadnych oczu, ani niczego na kształt uszu, choć te akurat w przestrzeni kosmicznej na niewiele by się zdały. Wielce wątpliwym było także, aby ta roślinopodobna istota posiadała cokolwiek, co choć w połowie zdawało się być mózgiem. Podróżnik jednak nie zwrócił na to uwagi, wszakże zdumiony był ujrzaniem czegoś jeszcze większego niż hiperkomputer TELUR 1-7423-710C. Zbliżył tylko swój pojazd na odległość, która zdawała mu się być bezpieczną i uczynił to samo, co przy spotkaniu z cybernetycznym mędrcem. Ustawił się w pionie, a po tym zadumał się z lekka zastanawiając co teraz począć. Przeleciał pół wszechświata, zwiedził tysiąc galaktyk, spotykał niezliczone rzesze najróżniejszych istot na swej drodze a teraz nie wiedział co czynić. Poniekąd był usprawiedliwiony faktem, że tym, który się przed nim objawił jest sam Stwórca. Jednakowoż słabym zdawało się to tłumaczenie, mając na uwadze fakt, iż podróżnik przygotowywał się do tego spotkania na wiele jeszcze przed opuszczeniem rdzennej planety.

Nagle przypomniał sobie o dżungli i słońcu i jednocześnie poczuł irracjonalną chęć do dyskusji o tymże śnie. Jednak szybko opamiętał się i doszedł do wniosku, że zaczyna wariować. Odegnął więc słońca i dżunglę i jeźdźca z buławą. Skupił się i spróbował wyłowić z umysłu czyste myśli. Zacząć, czy poczekać aż On się odezwie pierwszy? Może i? A może nie? Nie mogąc więcej czekać postanowił zainicjować od tak dawna wyczekiwaną konwersację...

- Boże, stwórczo wszechrzeczy, kreatorze wszechświata, wszechmocna istoto, kosmiczny Ojcie, sprawiedliwy opiekunie, wiekuista doskonałości... - zwrócił się do Boga wędrowiec. Jednak w odpowiedzi uzyskał jedynie niezakłóconą niczym ciszę. - Boże, stwórczo wszechrzeczy, kreatorze wszechświata... - Ponaglił podróżnik, jednakże reakcja wywołanego pozostała bez zmian. - Boże, czy mnie słyszysz? - absolutnej ciszy dalej nie niszczył najmniejszy nawet dźwięk.

- Boże, słyszysz mnie? - spróbował nawiązać kontakt ze Stwórcą jeszcze raz, choć i ta próba spotkała się z brakiem jakiegokolwiek reakcji Najwyższego. Podróżnik nie dawał za wygraną i kontynuował za każdym kolejnym podejściem wykorzystując coraz to inne, z setek dostępnych, sposoby komunikacji od telekinezy po prymitywne fale radiowe. Wciąż ponaglał swe zapytanie - Boże, czy mnie słyszysz? Słyszysz mnie? - I nic.

- Boże, czy mnie słyszysz? - I nic.

- Boże, czy mnie słyszysz? - I nic.

- Boże, czy mnie...